



**TEATR LUDOWY
NOWA HUTA**

**PROGRAM NR 1
SEZON 1963/64
DOŻYWCIE**

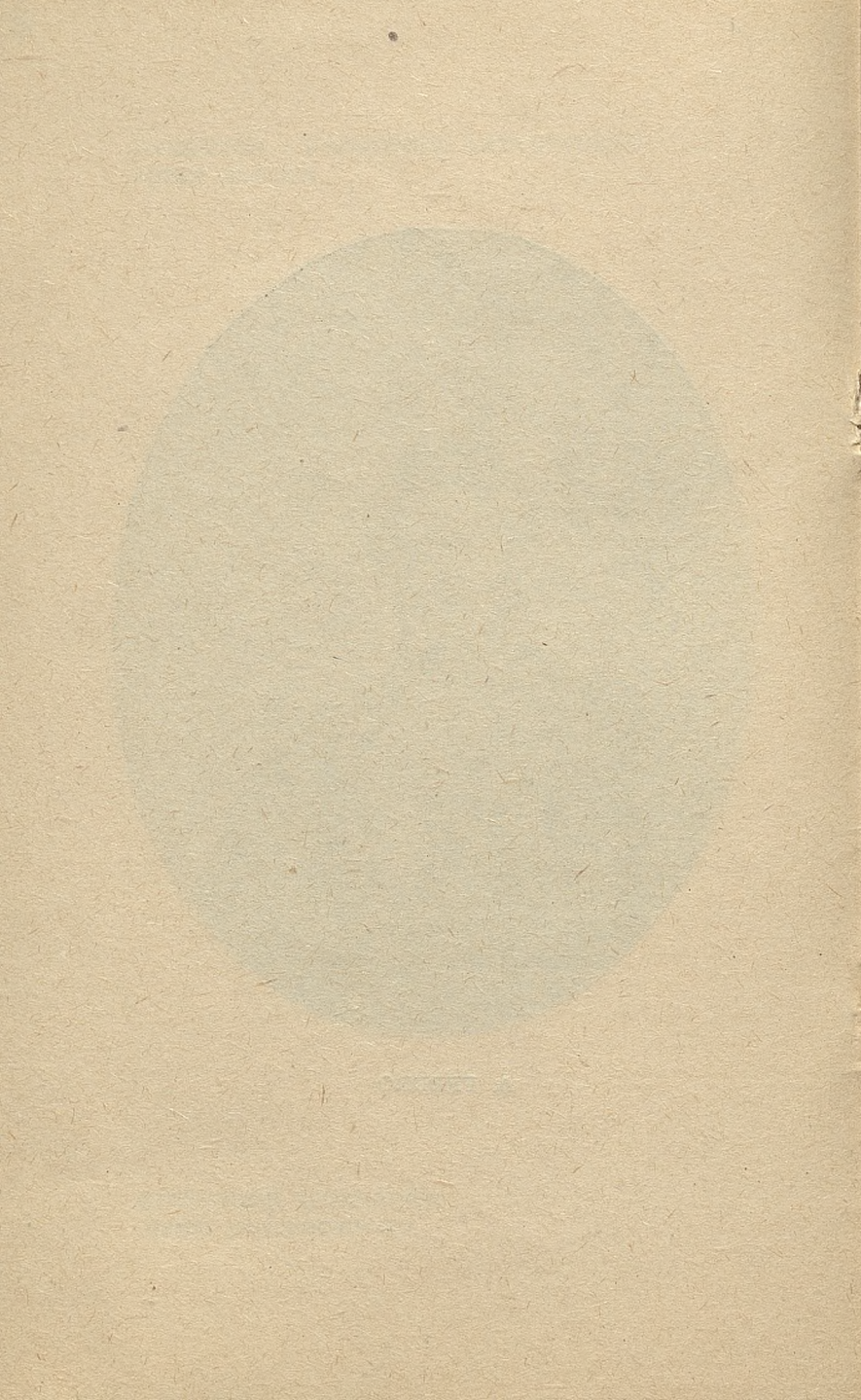
106/234

DYREKTOR I KIEROWNIK ARTYSTYCZNY:
JÓZEF SZAJNA

KIEROWNIK LITERACKI:
JERZY BROSZKIEWICZ



A. FREDRO



PRO MEMORIA

Wyjechaliśmy razem nie z równych pobudek,
Napoleon na Elbę, ja prosto do Rudek.
Tęskniłem za obozem... nudziłem się przeto,
I ażeby coś robić, zostałem poetą.
Poetą!... Tam do licha!... To panie nie żarty!
Byłżeś przynajmniej silną nauką podparty?
Ach gdzież tam!... Byłem sobie, ot szesnastoletnim
Pośród dwóch guwernerów nieukiem kompletnym;
Nigdy mi się nad książką nie zmarszczyło czoło,
Trąbka myśliwska w kniei była moją szkołą.
A kiedy niepodzielnie zafurknął proporzec,
W to mi graj!... Żegnając rodzicielski dworzec,
Żegnając biblioteki zasuwy spokojne,
Z radosnym uniesieniem ruszyłem na wojnę:
A gdym przedeptał obręcz i prysku i lodu,
Moskwy, Paryża, Wiednia od grodu do grodu;
Ze sześciomiesięcznym niewoli popasem,
Wróciłem z niezwiększonym nauki zapasem,
Wróciłem prawdę mówiąc, bez celu do kraju.
Lecz z pękiem doświadczenia różnego rodzaju.
Razu jednego kiedy w malignie zasnąłem
Wpadł mi palec w kałamarz i pisać zacząłem;
Oczywiście komedią, której bez nauki
A na najpierwszych scenach pojąłem treść sztuki.
Pisałem więc z tą wieku młodego odwagą,
Co się często dla drugich ciężką staje plagą,
Chciałem zasięgnąć rady... ale na me nogi
Literackich świeczników za wysokie progi;
I jeśli się zbliżyłem, bijąc kornym czołem,
Tak czy siak, koniec końców zawsze szcztuka wzięłem.
U jednego trzy akty ledwie wyżebrałem,
Bo swoje bajki z ciągłym wygłaszał zapałem,
A finalnie półgębkiem skończył na odprawie,
Że podobnych Geldhabów nie mamy w Warszawie.
Drugi zaś, nieruchomy klasyk ostrokruty,
Który z tej samej jednej zawsze śpiewał nuty,
Dał wyrok, że zły papier, atrament za błady,
I ani słowa więcej. — Szukajże tu rady!...

Nie wiedząc już nareszcie, jak poradzić sobie,
Z najmędrszym Gramatykiem skromny układ robię;
Darowałem mu pisma, ażeby poprawił,
Potem wydał... a sobie wawrzyny zostawił,
Mędrzec wziął, co chciał. A musiałem bez swatów
Uratować wawrzyny za dziesięć dukatów.
Po takich próbach, których cząstki tu nie mieszczę,
Trzeba było jeść diabła, aby pisać jeszcze.
Publiczność tylko szczerą, tę miałem po sobie,
Inaczej byłbym dernął, zaraz w pierwszej dobie.
Przy tym i teatralne dzienniki w Warszawie
Przemawiały od razu mniej więcej łaskawie.
W lwowskich tylko, jak mówię, i pies nie zaszczekał.
Ale nic nie straciłem, żem lat kilka czekał.
Bo jakiś Minos*) powstał i zaszczekał wściekle,
Chciałby moich pięć tomów w piątym widzieć piekle.
Żłem pisał. — Zgoda. — Ale źle pisać nie zbrodnia;
Trafiało się to dawniej i trafia się co dnia.
Byłem więc więcej złością niż treścią zdziwiony,
A kiedy nikt się mojej nie podjął obrony,
Nie mogłem pojąć, zgadnąć czy rada czy zdrada,
I zrozumiałem tylko, że milczeć wypada.
Milczałem lat piętnaście i nie schudłem wcale;
Jakżem się nagle znalazł w moim dawnym szale?
O! w labiryncie życia ścieżki niezliczone,
Nikt nigdy nie przewidział, w jaką zajdzie stronę.
Nie jeden mimo przestroóg i przewodniej nici,
Chcąc chwycić Apolina, żandarma uchwyci,
Tak i ja z łaski głupców, ich zwodnej przyjaźni,
Tuj, tuj, że nie beknąłem w Temidowej kaźni.
Gdy bowiem ktoś niepomny na wypadki krwawe
Wkrótce o ekonomii rozpoczął rozprawę,
Rzucono kilka wierszów, wprowadzie nie z Parnasu,
Ale zastosowanych do miejsca i czasu:
Finał był taki:

„A rząd?... Rząd, Mospanie, kiep!
Jego argumentem stryczek albo cep;
Gdzie taka Ekonomia wzrasta,
Wszystko błazeństwo i basta!”

7

Stadion*) przejął wiersze, mnie oskarżył o nie,
Zgromadził całe gremium w rządowym salonie,
I słuchajcie! słuchajcie! Do uwagi zmusił;
Etmajer deklamował... na kpie się zakrzusił,
Stadion kichnął, kichnęli wszyscy hofratowie,
A ja miałem gdzieś w kozie powiedzieć: „Na zdrowie!”
Przyszła chwila odwetu — każdy miał swój znaczek,
Bo zemsta jak mówią, królewski przysmaczek.
Zbombardowano więzę... od tak, dla uciechy;
Za mniemane a wsteczne oskarżono grzechy
Miera, ambasadora, że kładł barykady,
Mnie zaś, żem lżył Cesarza wśród Rudeckiej Rady.
Śmiano się do rozpuku, nie dając im wiary,
Ale wiary nie trzeba, kiedy trzeba kary.
Jak szydło z worka, Stadion wylazł w danej chwili
Kto tam zapłacił, nie wiem, lecz świadków kupili
I fałsz miał zostać prawdą. — Nareszcie pojąłem,
Że słowo wzlata ptaszkiem, a powraca wołem;
A mówiąc między nami, szczerze wam udzielię,
Że moich piosnek były niezbyt głośne trele;
Udając zaś fantazję przed grożącą kozą,
Napisałem komedią... lecz tym razem prozą.
A napisawszy jedną, po szczęsnym połogu,
Do dawnego, niestety, wróciłem nałogu.
Ale już teraz piszę tylko dla szuflady,
Bo pochwałem nie wierzę... Za późno na rady.
A teraz to Pro memoria spisuję dokładnie,
Aby gwizdano, jak kurtyna spadnie.

29 październik 1872.

*) Minos — mowa o S. Goszczyńskim

*) F. Stadion — gubernator Galicji

ALEKSANDER FREDRO

DOŻYWCIE

OBSADA:

Leon Birbancki
Doktor Hugo
Orgon
Rózia, córka Orgona
Łatka
Twardosz
Rafał Lagena
Michał Lagena
Filip
Muzykant I
Muzykant II
Muzykant III
Żyd

— Ferdynand Matysik
— Zbigniew Bednarczyk
— Zdzisław Klucznik
— Marianna Gdowska
— Witold Pyrkosz
— Ryszard Kotas
— Jerzy Jogała
— Rajmund Jarosz
— Michał Lekszycki
— Tadeusz Kwinta
— Jan Krzywdziak
— Józef Wieczorek
— Jan Mączka

Reżyseria: Wanda Laskowska

Scenografia: Wojciech Krakowski

Asystent reżysera: Tadeusz Kwinta

P R E M I E R A 5 lipiec 1963 r.

Ileż to razy dysekowałem moralnie sam siebie, porównywałem z drugimi, starałem się dociec, dlaczego zawsze od wszystkich prawie źle byłem rozumiany. Każde moje słowo najprostsze, najwyraźniejsze w najobojętniejszej rozmowie, przybierało w drugiego pojęciu znaczenie inne, jak miało w istocie, a zawsze cierpkie, zawsze ubliżające. Listy moje, zwykle niedbale pisane, stawały się dla mnie powodem niejednej głębokiej boleści, bo podpadały rozbirowi jakby jakie enigmatyczne zadania, tłumaczono je, a zawsze na złe, nigdy na dobre. A jednak wadą moją jest i było, że głośno myślę, że zdanie moje otwarcie powiadam, ale zawsze więcej, by je poddać dyskusji, niż żeby nim wyrokować. Otwartości świat nie pojmuje, tylko u głupiego, u rozumnego zaś bierze zawsze za dobrze wychowaną larwę. Wyrzec się wdzięczności można, każdy nawet rozsądny człowiek powinien jej unikać. Urazę przebaczyć można, nawet zapomnieć. Ale zawsze, nieustannie najczystsze zamiary, najgorliwsze usługi, najniewinniejsze słowa widzieć przekręcone, w truciznę zmienione, i nie być w stanie wyszukać w sobie przyczyny — to musi koniec końców obudzić wiarę w jakiś niezłomny fatalizm. To może od trącić od tego świata, który mnie nie chce. Mało, mało trzech murów między mną a ludźmi, abym mógł używać tej spokojności, która jest jedynym moim celem, tego szczęścia, którym mnie Bóg w domowym zakresie obdarzył. Połamałem moje pióro autorskie, nie — jak mniemano — dla równie złego jak głupiego artykułu, bezimiennie ogłoszonego... Staralem się, jednym słowem, zostać i zostałem „głupim świata”. Ukryłem się w cieniu głupoty przed cięciem, a jeszcze nieznośniejszym brzękiem człowieczych komarów, trutniów i bąków, a jednak i w tym gęstym cieniu nie mogę uniknąć zetknięcia się ze światem, które staje się zawsze dotknięciem elektrycznego druta, przykrym a często bolesnym. Oskarżać świat cały — szaleństwo, oskarżać siebie — niesłuszność. Dalej więc milcząc i nie myśląc, dalej po ostrej drodze...

A. Fredro — „Trzy po trzy”

Komediopisarz „wyobcowany”

Zamieszczony tu fragment z „Trzy po trzy” nie bardzo nam się zgadza z tą sylwetką Fredry, do której się przyzwyczajono zarówno w naszej polonistyce, jak w naszym teatrze. Pamiętnik pisany był późno — po latach milczenia, zaś dziwić się jego melancholijnej nucie nie można.

Aleksander hrabia Fredro, który już w szesnastym roku życia wdział mundur napoleoński i był żołnierzem nie mniej sprawnym od Henryka Beyle (znanego jako Stendhal), miał zadziwiająco cienką skórę autorską. Po słynnym ataku Goszczyńskiego zamilkł na lat blisko dwadzieścia. I sędzę, że dementi samego Fredry nie jest zbyt wiarygodne. „Połamałem moje pióro... nie dla równie złego jak głupiego artykułu...” Zły — i głupi. Takimi przymiotnikami nie obdarza się ataków niebolesnych i niesprawiedliwości zapomnianych. Tym bardziej, że wiele faktów i anegdot dokumentuje w różny sposób ową bolesną cieńkość autorskiej skóry pisarza. W różny — lecz wierzytelny. Dlatego nie należy chyba wierzyć samemu Fredrze, kiedy wypiera się współzależności pomiędzy ostrym i okrutnym atakiem Goszczyńskiego, a „połamaniem autorskiego pióra”. Goszczyński winien, to pewne!

Ale czy Goszczyński winien w realnym tego słowa znaczeniu? Procesowanie się z pamięcią owego najsurowszego z romantyków byłoby czystym nonsensem. Goszczyński miał swoją rację ludzką, ideową i patetyczną. Jakże to były czasy? Aleksander hrabia Fredro zajmował się „Ślubami panińskimi”, „Panem Geldhabem”, „Ciotunią”, „Dożywociem” et cetera, et cetera w latach 1817—1835. To znaczy: po Wiedeńskim Kongresie, za rządów Konstantego, w latach popowstaniowej żałoby. Była to epoka Kordianów i „Dziadów”. Konrad spierał się z carem i Bogiem, Kordian gotował spisek koronacyjny, sam Goszczyński poszedł z karabinem na Belweder, a potem z rozpaczą na emigrację — a Aleksander hrabia Fredro zajmował się włączającym przez okno, skacowanym Guciem i komicznymi tragediami Łatki, czy Geldhaba. Niech więc nikt się nie dziwi antykomediowej furii Goszczyńskiego. Naród bił się,

cierpiał, walczył i ginął — a Fredro śmiał się w swych komediach i to wcale nie hamletycznie. Fredro demobilizował! Fredro kalał patetyczną epokę swoją wielewidzącą ironią o rodzimej złości, głupocie, tępcie.

Goszczyński zatem bronił epoki przed mikrowidzeniem Fredry. Bronił wielkości Konrada przed sklerozą Jowialskiego i głupotą Cześnika. Chciał widzieć Polskę i Polaków wyłącznie w ramach wielkiej improwizacji, porachunku z bogiem, światem i wszelkimi żywiołami. Jest więc usprawiedliwiony ze swego romantyczno-bohaterskiego punktu widzenia.

Ale dzięki Fredrze za to, że był jaki był. Dzięki niemu można zachować zdrową pewność, że wszystkie romantyczne i bohaterskie sprawy działy się w narodzie normalnym. W narodzie, w którym obok Konradów i Kordianów, ich rówieśnik Guccio dbał o Belweder mniej niż o pełną butelkę, Birbancki klinował od rana, Łatka zdzierał do skóry, a Cześnik wymuszał małżeństwo na sierocie. Fredro uratował realne widzenie czasów, racjonalny wygląd epoki i wycucie proporcji.

Dogmatyczny Goszczyński chciał widzieć i słać naród olbrzymów — więc Fredro demonstrujący małych durniów drażnił go bardziej niż bardzo. Fredro się „wyobcował” z epoki, z heroizmu, z patosu. Kpił zbyt łagodnie, nie krwawo, z dezynwolturą i jowialnością. Nic dziwnego, że „bezimienny” Goszczyński (na pewno nie podług własnej tylko idei) uderzył na odlew i bezlitośnie.

Ale powtórzmy: dzięki Fredrze, że choć umilkł, to był jaki był. Dopełnił nam obrazu epoki. Od Kordiana — do Geldhaba. Od Konrada — do Łatki. Dopiero ten układ odniesień dał nam wizerunek właściwy. I jeśli literatura jest próbą pamięci i prawdomówności narodu o sobie — to trzeba powiedzieć po prostu: bez Fredry pamięć o epoce przekazano by nam nie pełną a prawdomówności by ubliżono.

Jerzy Broszkiewicz

- Inspicjent — Janina Grudniewicz
- Sufler — Michalina Szramel
- Oświetlenie — Ludwik Kolanowski
- Brygadier sceny — Edward Górski
- Kier. prac. krawieckiej — Feliks Kolak
— Teodora Rucińska
- Kier. prac. stolarskiej — Zygmunt Osika
- Kier. prac. perukarskiej — Henryk Jargosz
- Prace malarskie i modelatorskie — Władysław Grabowski

W REPERTUARZE TEATRU:

W. SZEKSPIR

„Sen nocy letniej”

G. B. SHAW

„Androkles i lew”

A. FREDRO

„Dożywocie”

W PRZYGOTOWANIU:

M. GOGOL

„Rewizor”

15

W HOLU
TEATRU
WYSTAWA
PRAC
MALARSKICH
I SCENOGRAFICZNYCH
WOJCIECHA
KRAKOWSKIEGO

Egzemplarz ^{Cena} bezpłatny